



Fot. Mariola Abkowicz

Karaimski najazd na Szczecin

Karaimski wypad do Szczecina, znany też jako "największa w dziejach migracja ludności karaimskiej na zachód", odbył się w dniach 13-15 kwietnia 2012 r. Oficjalnie przyczyną jego organizacji było zamknięcie wystawy "Karaj jołłary – karaimskie drogi", ale nie mniej ważne było samo spotkanie z Rodakami.

Delegacja gdańszczan i zarazem Pileckich w składzie: panowie Konstanty i Błażej, moja Mama – Hanna z domu Abrahamowicz oraz ja (świetnie się nadawałam do zaniżania średniej wiekowej) wyruszyła rankiem trzynastego w doskonałych humorach i z nadzieją, że zdążymy na wczesne punkty programu. Podróż samochodem zleciała szybko na rozmowach o pogodzie, planach wakacyjnych, kulturze, sensie życia niemal oraz oczywiście Karaimach.

Od razu po dotarciu na miejsce (pomocny był magiczny skrzątki zwany przez niektórych GPS-em) zostaliśmy wciągnięci w wir wydarzeń. Wraz z Mamą próbowałyśmy wejść na teren hotelu „Etap” przez jedyną bramę, kiedy nagle w mijającym nas autokarze ktoś zaczął krzy-
czeć i pukać w okno. Nieco się przestraszy-

Archiwum ZKP





Fot. Michał Abkowicz

Na Zamku Książąt Pomorskich pożegnano święta Chydzy Tymbyłarnyn, a powitano bliższych i dalszych krewnych

łyśmy, ale zaraz nadeszło olśnienie: to nas! Momentalnie znalazłyśmy się wewnątrz pojazdu i razem z grupą litewskich Karaimów pojechaliśmy na dworzec odbierać warszawiaków. Nastąpiła radosna scena powitania i w powiększonym składzie ruszyliśmy na podbój Szczecina. Z powodu pochmurnej pogody podczas zwiedzania siedzieliśmy w autokarze, gdzie większość słuchała opowieści pani Ludmiły Kopycińskiej po rosyjsku, a ci, którzy – jak ja – nie znają tego języka, kręcili głowami na prawo i lewo, raz po raz robiąc zdjęcia. Wysiedliśmy na zwiedzanie jednego z okazałych szczecińskich kościołów. Główna atrakcja to widok ze szczytu jego wieży. Na szczęście wspinanie się na samą górę nie okazało się konieczne, elegancko powciskaliśmy się do wind. Stamtąd właśnie po raz pierwszy zobaczyliśmy piękny gmach Zamku Książąt Pomorskich.

Kiedy trafiliśmy tam kilka godzin później, zachwyliła mnie elegancja przeznaczona dla nas sali. Nastąpiło uroczyste zakończenie karaimskich świąt Chydzy Tymbyłarnyn (ach, znów smak chlebka!), potem odśpiewaliśmy kilka pieśni w różnych językach dla dwójga jubilatów z Trójmiasta: Żeni Firkowicz i Kostka Pileckiego, a po intensywnym konsumowaniu pyszności doszliśmy do najciekawszej części tego wieczoru: prezentacji systemu informacyjnego stworzonego przez Mariolę Abkowicz i grono genealogicznych zapaleńców. Złożoność pokrewieństwa Karaimów nie jest już zdana wyłącznie na pamięć najstarszych przedstawicieli narodu, teraz mamy to też w kompute-

rach. Zobaczyliśmy drzewa genealogiczne najważniejszych rodów karaimskich, m.in.: Firkowiczów, Abkowiczów, Kobeckich, Pileckich, Szulimowiczów... Często powtarzały się nazwiska tych samych osób i tak: młody Kamil Kobecki okazał się być jednocześnie swoim wujkiem i kuzynem, a to tylko na jednym z drzew! Chwilę potem bawiliśmy się w wyszukiwanie połączeń między konkretnymi osobami: odkryłam, że jestem cioteczną prababką parę lat młodszego ode mnie Ernesta. Tego samego wieczoru odbyło się jeszcze zaimprovizowane przez panią Miłę Ławrynowicz przedstawienie i śpiewanie „Ijisi baraskiniń” (Zapach piątku – nie mogłam otrząsnąć się ze zdziwienia, że wyszło nam to tak melodyjnie. Widać to tylko w mojej rodzinie charakterystyczna jest nieumiejętność śpiewu).

Następny dzień upłynął pod znakiem oficjalnych uroczystości. Trzeba było wszystko przygotować na wieczorne obchody zamknięcia wystawy czyli Dzień Karaimski, dlatego zaraz po śniadaniu w klimatycznych lochach zamku oba zespoły taneczne przystąpiły do prób. „Dostłar”, stanowiący moją kompanię, uwinął się szybko, dzięki czemu mogliśmy jeszcze się przejść. Niestety, nie zaszliśmy daleko, bo trudno omijać sklepy obuwnicze, gdy większość grupy to kobiety...

Kiedy zaczęły się uroczystości, wraz z Dovletą usiadłam na widowni, dziwiąc się trochę ilości nie-Karaimów. Najpierw leciał film znany niektórym z naszej strony internetowej: ładny, ale stanowiący w zasadzie urozmaiconą wersję opowieści snutej przeze mnie za każdym razem, gdy usłyszę: „Jesteś Karaimką? A co to znaczy?”. Został uzupełniony rozmową z Mariolą Abkowicz i Adamem Dubińskim, w czasie której padało tyle pytań, że nie na wszystkie zdążyli odpowiedzieć. Następnie obejrzelśmy występ zespołu „Birlık”, który poczynił w tańcu ogromne postępy. Później wypowiadali się szczecińscy Karaimi z rodu Abkowiczów, opowiadając ciekawie o historii swoich przodków. Chwilę później na scenie znów zrobiło się kolorowo: „Dostłar” zaczął swój pokaz. Na koniec Mariola wygłosiła krótkie wprowadzenie do kuchni karaimskiej. Chwilę potem goście zostali uraczeni degustacją kybynów i krupniku. Tak im się spodobały, że dla nas nie starczyło...

Na szczęście wkrótce zaczęła się kolacja – druga i niestety ostatnia podczas naszego pobytu. Jednym z bardziej interesujących jej aspektów była wielokulturowość obecnych. Zazwyczaj trudno znaleźć salę wypełnioną prawie w całości Karaimami, ale tutaj mieliśmy jeszcze

reprezentację Polaków, co najmniej jedną rdzenną Litwinkę, pół-Karaimkę z Norwegii i najbardziej barwną ze wszystkich rodzinę Morawców. Przybyły z Niemiec mały Andrzejek jest Karaimem w 25%, Polakiem również w 25% i Tatarem w 50%. W dodatku w związku z powszechną znajomością rosyjskiego nazwano go Andriuszka! Ten to będzie miał robotę z tłumaczeniem swojego pochodzenia! Podczas spotkania wręczono gościom reprezentującym władze Szczecina symboliczne karaïmskie pamiątki, a na stole wyłożono bezpłatne publikacje wydawnictwa „Bitik”. Uracono nas też dwoma niepowtarzalnymi dziełami: ogromnym sękačem oraz przemową pana Aleksandra Kobeckiego. Najbardziej zapadło mi w pamięć stwierdzenie, że nigdy wcześniej nie udokumentowano tak masowej migracji Karaimów na zachód. Cóż, ta pierwsza jest dokumentowana właśnie w tym momencie.

Po części uroczystej nastąpiło obławanie udanego zakończenia wystawy w gronie prywatnym. Niestety, obsługa hotelu wykazała małe zrozumienie dla karaïmskiego temperamentu, twierdząc niesprawiedliwie, że stanie w drzwiach automatycznych czy nocne bieganie po korytarzu jest wbrew regulaminowi. Mimo wszystko bawiliśmy się świetnie.

Następnego ranka oprócz standardowych problemów z wyjazdem (takich jak góra ubrań na łóżku czy tylko jedna łazienka w pokoju), czekał nas jeszcze jeden szkopuł: po dwóch wieczorach spędzonych kulturalnie z grupą teoretycznie dorosłych ludzi pozostała nam kolekcja w postaci kilkunastu opróżnionych butelek, a w naszym trzyosobowym pokoju tylko Basia była pełnoletnia...

W końcu zebraliśmy się z bagażami przed bramą hotelu, ale zbyt się wszyscy lubimy, żeby pożegnanie trwało krócej niż pół godziny. Grupa warszawsko-litewska pojechała autokarem (po drodze czekała ich jeszcze wizyta na basenach termalnych), a my, gdańscy, wróciliśmy tak zygzakowato, jak tylko się dało, zachacząc o co ciekawsze punkty wybrzeża.

Na tym właściwie kończyłaby się moja szczecińska przygoda, gdyby nie oglądane kilka dni później zdjęcia z wyprawy i to dziwne uczucie, kiedy w poniedziałek rano spojrzałam na moją klasę i pomyślałam: „Ech, tęsknię do karaïmskiej kompanii”. Mam nadzieję, że będzie więcej okazji do tak miłych i niezapomnianych spotkań.

Zofia Pilecka



Fot. Michal Abkowicz



Fot. Michal Abkowicz



Fot. Michal Abkowicz

Trocki zespół dziecięcy Birlik w Szczecinie 14 kwietnia 2012 r.

